Budynek, szary i niski, stał na tyłach wielkiego białego Ratusza m.st. Warszawy. Dla Ignacego Atkypa przez ostatnie kilka miesięcy był sposobem na dodatkowy zarobek w mieście. Dla Ignacego, możliwość pracy oznaczała potwierdzenie własnej wartości i dumę. Bez pracy żyło się na koszt Państwa i nie znaczyło się nic.

Jednak, pomimo jego zaangażowania, wielu nadgodzin, jego praca została uznana za nieważną. Tego październikowego dnia, w trakcie szczegółowej kontroli, prowadzonej przez uzbrojonych ochroniarzy w czarnych mundurach, został zatrzymany i zawrócony do specjalnego okienka pośród wielu innych na sali. W okienku, drobna kobieta, wychudzona, która wyglądała, jakby przed chwilą płakała, podała mu dokument wypowiedzenia. Gdy na nią spoglądał, oddając dokument, pomyślał, że nie chcę się jej pytać o powody i dodatkowo ją denerwować.

Ignac znowu się poczuł jak odpad atomowy. Dawno niemyślane myśli wróciły do niego, gdy stał w tłumie ludzi na przystanku. Na przystanek podjechał trolejbus, autobus z silnikiem elektrycznym, zasilany z przewodów rozwieszonych nad ulicą tak jak linie tramwajowe. Autobus w kierunku Bielan już był pełny. Pewnie znowu miasto oszczędzało na kierowcach, choć i tak jeździli ludzie tylko z pracą. Ignacemu udało się wepchnąć do środka. Stał tam w ścisku i czuł odór niedomytych ciał i dawno niepranych ubrań. Sam nie wyglądał lepiej, jego rzeczy też już powinien oddać do spółdzielczej pralni. Tyle lat, a jeszcze się nie przyzwyczaił do codziennej nędzy warszawiaków.

Im dalej na północ Warszawy jechał autobus, tym bardziej Warszawa się zmieniała. Piękne, czyste, jasne budynku Centrum, z wieżowcami, gdzie wielkie korporacje obracały miliardami kredytów, przy wysprzątanych ulicach, zamieniały się najpierw na wille bogacze, nadal przy czystych oraz równych ulicach. Potem następowało kilka ulic kurczowo trzymających się dawnej świetności. Ulice Krasińskiego, Broniewskiego, Elbląska jeszcze były posprzątane, jeszcze gdzieniegdzie przy ulicy stało drzewo, jakaś niedorżnięta lipa.

Już po minięciu obwodnicy Warszawy, Ignacy zobaczył znajome zniszczone budynki, droga z metra na metr zamieniła się w poszarpany, pokawałkowany asfalt, po którym autobus toczył się wolno i ociężale. Ignacy wysiadł przy Duracza, gdzie jeszcze nie było podobne tak źle. Tak przynajmniej mówili znajomi Kornelii ze studiów. Ignacy był zadowolony z mieszkania, udało mu się tyle lat utrzymać na powierzchni.

- Mój drogi Ignacy - usłyszał z tyłu.

Odwrócił się, poznając głos Horacego.

Ignac poznał Horacego kilka miesięcy temu w jednej z wielu kolejek, w których musiał stać bezczynnie i w milczeniu. Horacy, imię prawdziwe, nadane przez rodziców, był o kilka lat młodszy od Ignacego, tak jak wielu współczesnych nie pracował i zajmował się przede wszystkim życiem epikurejczyka. Wysoki, ale otyły z powodu niskiej jakości jedzenia, cały czas był poważny, choć jak mówił, w środku śmieje się jak dziecko. Ignacy polubił go bardzo szybko.

- Mój drogi Horacy - odpowiedział z uśmiechem - Jak Ci zaczął się dzień?

- Wspaniale - odpowiedział Horacy. - A Tobie?

- Znacznie gorzej, zostałem zwolniony.

- Och, a tak się cieszyłeś z tej pracy? - powiedział naprawdę dotknięty Horacy - ale pamiętaj, że to, co jest straszne jest łatwe do przetrwania, a co dobre jest łatwe do uzyskania …

- A śmierć jest nieukniniona, a bogowie nie są straszni - przerwał ze śmiechem Ignacy. - Powtarzasz mi to praktycznie, co się widzimy.

- Bo to są realne cztery leki na nasze kłopoty - odpowiedział z uśmiechem Horacy. - Znane znacznie dłużej niż jakieś tam chrześcijaństwo.

- Muszę już iść, powiedzieć Kornelii.

- Pozdrów ją ode mnie. Też będę szedł.

Ignacy mieszkał w niskim, pięciopietrowym budynku. Budynek był strasznie stary, zbudowano go blisko sto lat wcześniej w okresie PRL-u. Takie budynki, żelbetowe, wielkopłytowe, modernistyczne na tamten czas, świetnie zniosły lata eksploatacji. Stały prosto, nie pochylone, świadcząc o wyższości dawnej sztuki budowlanej.

Ignacy powoli wspiął się na czwarte piętro. Jak każdy młodszy członek tej małej społeczności wziął ze sobą na górę dwa wiadra wody, które ktoś inny przyniósł z niedalekiego punktu poboru wody. Klatka schodowa była czysta, przestronna. Każde piętro opiekowało się nią przez miesiąc. Mieszkańcy nie przesiadywali na klatce, woleli w świetlicy lub na ulicy. Ignacy wchodził po cichu, aby nikogo nie wywołać z mieszkania.

Mieszkania Ignaca nie było duże. Nie było to nawet mieszkanie. Ignacy mieszkał z Kornelią w jednym pokoju, powstałym z podzielenia dużego pokoju na pół. Dokładał się do wspólnego budżetu, ciężko było o prywatność, kłótnie, kto kiedy wykopie latrynę, potrafiły zelektryfikować cały budynek, ale miał własny kąt. Półpokój był umeblowany zużytymi porysowanymi meblami z plastiku, było łóżko, niewiele więcej, ale Ignacy wiedział, że gdyby nie ten półpokój, mieszkałby na warszawskich slumsach, na terenie dawnej huty “Warszawa” we wspólnych noclegowniach.

W mieszkaniu, kiedyś zajmowanym przez młode małżeństwo, teraz przez cztery pary, niektóre z dziećmi, czuć było zapach potu i niepranych ubrań. Ignacy przeszedł przez zastawiony przedpokój, postawił wiadra w kuchni i wszedł do

swojego półpokoju. Kornelia jeszcze spała. Wróciła późno w nocy, załatwiała jakieś sprawy z koleżankami.

Ignacy usiadł na podłodze, obok materaca ze śpiącą Kornelią. Kornelia wyglądała bardzo spokojnie. Jej niebieskie kosmyki, pomieszane z blond lokami, na tle jasnej skóry twarzy nadawały jej wygląd elfi. Tak przynajmniej uważał Ignacy od momentu ich pierwszego spotkania u znajomych Ignaca. Wydaje się, że Kornelia we śnie zapominała o stresie codziennego życia.

Ignacy wyjął czytnik ze szafki. Od wielu lat te proste i niewielkie urządzenia zastąpiły papierowe książki, dawne smatfony czy komputery. Energia stała się zbyt droga, aby ją tracić na produkcję kolorowych ekranów czy złożoną elektronikę. Ignacy próbował się skupić na czytanej powieści “Przebudzenie Lewiatana”. Myśli jego ciągle wracały z fantastycznych historii ludzkości kolonizującej Układ Słoneczny do wydarzeń dzisiejszego dnia. Ignacy od tak wielu lat żył na krawędzi, że nie mógł uwierzyć w swoje powodzenie, gdy został wylosowany do pracy jako urzędnik.

Kornelia się poruszyła przez sen, jej powieki zadrgały, jakby się budziła. Ignacy zastygł. Kornelia usiadła na łóżku i otworzyła usta do krzyku. Zanim krzyknęła, Ignacy powiedział:

- To tylko ja.

Kornelia zamknęła usta, zadrżała i zapytała się:

- Co się stało?

- Zwolnili mnie - odparł Ignacy.

- Ale za co, jak? - zapytała Kornelia.

- Nie wiem, nie powiedzieli.

- A myślałam, że będzie nam wreszcie lepiej - powiedziała Kornelia - I co my teraz zrobimy? - dodała przejęta.

- Nie wiem, nie ma pracy w Warszawie - odpowiedział Ignacy - Wrócimy do kartek. Dobrze, że nie mamy dzieci.

- A gdybym była w ciąży ? - zapytała się Kornelia.

- Ale nie jesteś, prawda ? - zapytał się Ignacy.

- No, nie - odpowiedziała Kornelia - Ale chciałabym mieć dzieci.

- Ale w jakim świecie miałyby one żyć, tym? To byłoby straszne.

Ignacy odłożył czytnik i położył się koło Kornelii. Leżeli tak w ciszy, w środku dnia, myśląc o przyszłości.

Następnego dnia Ignacy wyruszył się zarejestrować jako bezrobotny. Autobus przyjechał z opóźnieniem, pełny ludzi korzystających z darmowej komunikacji, więc Ignacy zdecydował się pójść piechotą na ul. Ciołka do Urzędu Pracy. Było ciepło, więc ulice były wypełnione zmęczonymi, nędznymi ludźmi. Tylko po środku jezdni zostawał jeden pas dla autobusów, reszta ulicy była zajęte przez tłum.

Było szaro, chmury na niebie, budynki w niezmienionym kształcie poszarzałe od powietrza w stolicy. Powietrze chłodne, jesienne, suche, umożliwiało jeszcze chodzenie piechotą. Za kilka miesięcy wyjście z domu będzie trudne, szczególnie gdy nadejdą zimowe wichury.

Na ulicach, dawne trawniki były wydeptane przez ludzi. Warszawa zmieniła

swoje oblicze. Jak Ignacy był mały, było dużo drzew, trawników. Chodniki były równe. Teraz po kilkunastu latach drzewa były wycięte i sprzedane, trawniki były zadeptane, a całe ulice potrafiły być wypełnione grupkami ludzi. Mieszkańcy Warszawy nie spieszyli się do pracy, nie spieszyli się na zakupy. Część stała czekając na wieczór, część rozmawiała przyciszonymi głosami. Nikt nie śmiał się, nikt nie grał, nie biegał na ulicy. Ludzie zachowywali się bardzo spokojnie.

Przy Urzędzie Pracy stała niewielka kolejka ludzi, ubranych w czyste rzeczy, często jeszcze w czystych i całych butach. Ignacy stanął na końcu. Po chwili wpuszczono pierwsze dziesięć osób do poczekalni. Ludzie w kolejce wyglądali tak, jakby wiedzieli, że nie znajdą roboty. Stali jednak w kolejce łudząc się, że jest odwrotnie. Dlatego zachowywali pozory, udawali przed sobą, że jeszcze będzie dobrze, że jeszcze im się znów uda.

Ignacy po godzinie wszedł do poczekalni, po kolejnej godzinie udało mu się złożyć formularz bezrobotnego. Zastanawiał się, czy to coś zmieniało. Już dawno nikt nie dostał roboty z Urzędu Pracy. Nawet do pracy śmieciarzy były kolejki zapisanych pracowników. Prawo jednak stanowiło inaczej, a w tych czasach lepiej było nie naruszać prawa, szczególnie, jeżeli żyło się na kartkach.

Ignacy, po wyjściu z urzędu pracy, zrezygnowany udał się jak tyle lat już po kartki na żywność. Kartki były rozdawane w Urzędach Dzielnicy, zatem Ignac ponownie ruszył na wędrówkę na Żoliborz. Jako dorosłemu przysługiwało mu dwa tysiące kalorii, bez pracy nie mógł liczyć na więcej. Warszawiacy nie umierali z głodu, choć słychać było głosy krytykujące takie rozdawnictwo żywności w mediach

Kolejka przed Urzędem na Słowackiego była znacznie dłuższa. Ludzie w połatanych ubraniach, w podartych butach, lub w szmatach czekali cierpliwie, aż nadejdzie ich kolej, aby odebrać kartki dla siebie i najbliższej rodziny. Nie słychać było głośnych rozmów, każdy patrzył się przed siebie. W okienkach w

urzędzie lepiej wyglądający urzędnicy podawali koperty zawierające wycięte karteluszki papierowe opisane słowami “białko”, “węglowodany” czy “witaminy” i gramaturą.

Każdego dnia droga od domu do lokalnego punktu żywności musiała być powtórzona. Każdego dnia Ignacy czekał w kolejce po żywność. Dostawał paczkę podstawowych produktów roślinnych - mąki, fasoli, czasem warzyw, czasem owoców. Potem Ignacy lub Kornelia przygotowywali prosty posiłek. Często jedli często na zimno jedzenie, bo albo nie było paliwa do kuchenek, albo było oszczędzane na zimę albo był kolejny tydzień dziesiąty stopień zasilania i prąd był włączany na godzinę dziennie. Na Bielanach była to druga, trzecia w nocy.

Wielu rezygnowało z takiego żywienia i oddawało swoje kartki jadłodajniom. Jadłodajnie, przygotowując posiłki dla setek osób, mogły korzystać z przydziałów energii, jaka została i przygotowywały ciepłe posiłki dwa razy dziennie. Ale Ignacy od matury sam się utrzymywał i tej wolności nie miał zamiaru nikomu oddać.

Nadeszła zima. W tym roku znacznie szybciej, niż zeszłego roku. W połowie października pojawiły się pierwsze przymrozki, a pierwsze śniegi na początku listopada. W mieszkaniach było zimno i wilgotno. Na ścianach pojawiła się niewidziana od sześciu miesięcy pleśń, ponieważ miejska sieć ciepłownicza zaczynała działać z przerwami dopiero w zimę, gdy temperatura spadała poniżej minus dziesięciu stopni Celsjusza.

Mieszkańcy budynku zbierali się wieczorami przy małych lampkach ledowych w holu na parterze. Czasem tylko rozmawiali, a czasem naprawiali swoje rzeczy. W takim małym budynku zawsze były chętne ręce do pomocy albo pomocnicy z radami. Tak ich mała społeczność wiodła swoje życie, niemal sielankowo.

- Och, dobry wieczór Pani Kornelio - powiedziała Pani Ala, starsza sąsiadka z parteru.

- Dobry wieczór Pani Alu, jak minął Pani dzisiejszy dzień? - odpowiedziała z uśmiechem Kornelia.

- A wie Pani, kolejny dzień przeżyty w kolejkach. Nawet nie miałam czasu poczytać książki. - odpowiedziała Pani Ala. - A gdzie to małżonek? - dodała po chwili

- Jaki tam małżonek, Pani Alu, narzeczony, nie mamy jak się pobrać.

- Jak już przyrzekł, to jak mąż, a czasy mamy teraz takie, że lepiej być z kimś niż samemu.

- Ale Pani Alu, Ignacy mówił mi, że widział instrumenty na śmietniku na Żoliborzu. - powiedziała Kornelia zmieniając temat. Życie Pani Ali było trudne i muzyka ułatwiała jej trwanie.

- Kto by teraz instrumenty? - zaczęła się zastanawiać Pani Ala - barbarzyńca jakiś, przecież to nie do kupienia, albo tylko do odziedziczenia jest.

- Nie wiem, dlaczego dla Pani nie zabrał. Coś mówił, że tłum się zbierał, a on się spieszył. Poproszę go, żeby jakieś zabrał następnym razem - powiedziała Kornelia.

- Jakby kiedyś książki zobaczył, to Pani mu powie - powiedziała Pani Ala dotykając ręki Kornelii - żeby jednak zabrał dla mnie, tylko nie jakieś romansidła, ale porządną filozofię, albo matematykę. Poczytałabym sobie - dodała rozmarzona.

W holu było coraz więcej mieszkańców. Z piętra razem z Ignacym schodził Paweł, lokator drugiego półpokoju.

- I mówię Ci, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. - perorował Paweł do Ignacego.

- Że co? Przecież ja nic nie mogę, żyję dzięki miastu - odpowiedział spokojnie Ignacy.

- Ale powtarzam Ci, trzeba chwycić życie za rogi i wyrwać, co swoje. Jak nie będziesz aktywny, to zawsze tu będziesz żył.

- Że niby co? Ale tak dokładnie proszę?

- Po pierwsze, trzeba aktywnie poszukiwać pracy, praca sama się nie znajdzie, po drugie, o pracę dbać, pracy się trzymać, a nie lekceważyć - zaczął wyliczać Paweł.

- O czym Ty mówisz? - ze wzburzeniem odpowiedział Ignacy - Jak można aktywnie poszukiwać pracy, jak jej nie ma. Nawet do pracy śmieciarza są kolejki na zatrudnienie. Fabryki są zrobotyzowane, ciężarówki są zrobotyzowane, ale my jesteśmy nikomu niepotrzebni. - dodał już spokojniej Ignacy.

- Ignacy, nie mów tak - powiedziała Kornelia - mi jesteś potrzebny. A Ty, Paweł, nie prowokuj go już.

- Nie prowokuje mnie - odparł Ignacy. - Tylko dyskutujemy.

Hol, mała świetlica w budynku, ponownie związał ludzi więzami społecznymi. Tam coś naprawiali, tu uczyli dzieci z czytników. Pani Ala rozmawiała z koleżanką z pierwszego piętra o pozycji Polski na tle ostatnich decyzji Francji i Niemiec.

W nocy Ignacy ponownie nie spał z powodu zimna. Choć próbowali się wzajemnie ogrzewać z Kornelią, to ciągle im było zimno. O wschodzie słońca Ignacy wstał z łóżka. Kornelia również nie spała.

- Zrobić Ci herbaty? - zapytał się Ignacy.

- Nie, poproszę kawę - odpowiedziała Kornelia.

Ignacy wyszedł do wspólnej kuchni. Lokator drugiego półmieszkania, idąc do pracy, nastawił wodę i zagotowaną przelał ją do termosa. Ignacy nalał dwa kubki ciepłej wody i wrócił do Kornelii.

- Och, dziękuję, jaka to dziś kawa? - powiedziała Kornelia.

- Tylko woda, jak zwykle - odpowiedział opryskliwie Ignacy.

- Nie musisz się na mnie wyżywać

- Przepraszam Cię, po prostu kolejny dzień spędzimy w kolejkach pod różnymi urzędami - powiedział przepraszająco Ignacy.

- Nadal Cię to nie usprawiedliwia - powiedziała Kornelia zimno. - Takie mamy czasy, że aby żyć, musimy stać w kolejkach.

- No, ale codziennie? Dlaczego nam nie dadzą żywności na tydzień, dlaczego codziennie, w deszczu czy w słońcu, musimy stać tak samo?

- Nie wiem, zawsze staliśmy w kolejkach, zawsze były problemy z żywnością. Przynajmniej nie chodzimy głodni - odparła Kornelia.

- Ach, co Ty tam wiesz!

Ignacy kolejny dzień wyszedł z półmieszkania wzburzony. Przy Broniewskiego przypomniał sobie, że powinien przynieść świeżej wody z ujęcia wody, w kranie ostatnio była ruda. Wrócił szybko do mieszkania. W sieni usłyszał dziwne odgłosy. Jakby jęki, jakby prychnięcia dochodziły z jego półmieszkania. Mógł to być napad, Kornelia mogła być w niebezpieczeństwie. Wziął do ręki stołek z kuchni i, po głębokim oddechu, otworzył energicznie drzwi do półmieszkania.

Kornelia zdradzała go z Pawłem.

Kilka tygodni później Ignacy obudził się mocno przed wschodem słońca. W wielkim pomieszczeniu hali fabrycznej dawnie stalowni w Hucie Warszawa leżały setki ludzi, jeden koło drugiego. Hala w nocy pełniła rolę noclegowni. Starsi ludzie, imigranci z innych województw, rodziny całe z dziećmi sypiały koło siebie każdej nocy. Hala szybko się wychładzała, nie było też wielu sanitariatów, więc w zimnym powietrzu roznosił się zapach dawno niepranych ubrań, dawno niemytych ciał oraz świeży zapach odchodów ludzkich z kubłów.

Ignacy, zasłaniając nos, przedostał się po ciemku do korytarza, kawałka podłogi szerokości pół metra, który umożliwiał wyjście na zewnątrz. Przy wyjściu z hali, zacisnął mocniej pasek w kurtce. Przestąpił próg i uderzył go nagły podmuch zimnego wiatru. Od wielu lat nie było śniegu zimą, ale zawieje i zamiecie pozostały, o ile tak można nazwać wiatr wiejący nieprzerwanie, mrożący krew w żyłach lub wciskający się pod źle watowaną kurtkę.

Ignacy poszedł prawie biegnąc do szaletu. Organizatorzy hali zachęcali do wychodzenia za potrzebą. W szalecie były tylko przepierzenia i deska, na której się siadało. Ignacy usiadł. Nagle usłyszał, że do szaletu ktoś jeszcze wchodzi. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, pewnie dla seksu. Ignacy zdziwił się, że ktoś chciał uprawiać seks w tak zimną noc.

- Masz to? - zapytała się kobieta.

- Tutaj - odpowiedział mężczyzna.

- Poświeć - rozkazała kobieta. - Wyglądają dobrze.

- Jasne, że są dobre. Kolektyw ma swoje dojścia.

- Partia dziękuje, ale potrzebujemy takich rzeczy jeszcze kilkanaście.

Ignacy wstrzymał oddech. Obwieszczenia, reklamy w radio ostrzegały przed nielegalną działalnością polityczną.

- Postaramy się, ale jest nam coraz trudniej.

- Partia pomoże, przekażę - powiedziała kobieta uspokajająco. - No idę, za przyszłość.

Trzasnęły drzwi.

- Za przyszłość - odpowiedział mężczyzna zamkniętym drzwiom. Zaczął pogwizdywać. Gwizdy zbliżały się do Ignacego. Ignacy nie mógł poruszyć się ze zdenerwowania.

Nagle mężczyzna go zobaczył.

- A co Ty tutaj robisz ? - ostro powiedział mężczyzna.

- Ja nic nie wiem - odparł przestraszony Ignacy.

- Szpiclujesz, prowoku! - krzyknął mężczyzna.

- Nie, wyszedłem tylko do szaletu, śpię na stalowni, nic nie słyszałem - błagalnie zaczął zapewniać Ignacy - nikomu nie powiem.

Mężczyzna przyglądał się mu przez chwilę.

- Wierzę Ci - powiedział, sięgając do kieszeni - ale …

- Nie, nie zabijaj mnie, nie w szalecie - zaczął rozpaczliwie błagać Ignacy.

Mężczyzna zatrzymał ruch.

- Dlaczego? - powiedział zdziwiony - Przecież jedziemy na tym samym wózku. Chciałem dać Ci ulotkę.

Mężczyzna wyjął ulotkę z kieszeni i podał Ignacemu.

- Jaką ulotkę? - zapytał się zaskoczony Ignacy, biorąc ulotkę.

- Przecież przyszłość sama się stanie, to my tworzymy przyszłość - odpowiedział mężczyzna. - Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Mężczyzna szybkim krokiem wyszedł z szaletu. Ignacy został sam z ulotką. Na górze było napisane hasło “Za przyszłość”. Poniżej tekst “To My tworzymy przyszłość”. Ulotka była zrobiona z grubego papieru. Litery były nierówne i niektóre zlewały się. Ignacy spanikował, słyszało się, że za takie rzeczy policja rozstrzeliwała w zaułkach, bez sądu, bez świadków. Ignacy nie czytał dalej i wrzucił ją do szaletu.

Kolejne dni zlewały się Ignacemu w ten sam jeden potworny dzień. Codziennie wychodził z noclegowni. Codziennie odbierał żywność na ten dzień. Codzienie odbiór żywności był poprzedzony minimum czterema godzinami stania w kolejce. Codziennie zjadał zimne, niedogotowane obiady. Wieczory szybciej zapadały, ukrywając nędzę Warszawiaków.

Tego dnia kolejka ludzi ciągnęła się od stacji metra Stare Bielany aż do Wawrzyszewa. Ludzie stali w ciszy, niektórzy rozmawiali półgłosem. Wzdłuż kolejki przechadzali się patrole policjantów. Kto rozmawiał, mógł być

przeszukany brutalnie. O godzinie ósmej do punktu wydawania podjechały dwie wielkie elektryczne ciężarówki. Obsługa punktu otworzyła klapy i kolejne osoby z kolejki zaczęły dostawać przydział żywności za kartki.

Ignacy stał bardzo daleko w kolejce. Tak jak wszystkim było mu zimno i nieprzyjemnie. Kolejka posuwała się powoli, więc co chwilę Ignacy musiał przesunąć się o kilka kroków. Na oko musiał jeszcze czekać na mrozie dobrą godzinę.

Wzdłuż Karpińskiego przejechał samochód spalinowy, widok bardzo rzadki tak bardzo na północy. Kolejkowicze odprowadzali samochód beznamiętnym wzrokiem. Choć samochody zniknęły z ulic na skutek serii podwyżek cen ropy, a wszyscy warszawiacy przesiedli się do trolejbusów i tramwajów, to nie warto było interesować się samochodami. Policja łatwo brała się do bicia zbyt ciekawskich.

Samochód zatrzymał się przy punkcie wydawania żywności. Z samochodu wysiadła jakaś kobieta, w czerwonym kostiumie, szczupła, z mocnym makijażem. Wyglądała na bardzo zadbaną, bardzo czystą. Ignacy stał za daleko, aby ocenić wiek, ale przypomniał sobie Kornelię.

Ignacy pod nosem zapytał się samego siebie:

- Ciekawe kto to?

Z tyłu usłyszał szept.

- To właścicielka punktu, Anna Lubomirska.

Ignacy zaczął się odwracać do rozmówcy.

- Stój, człowieku - dobiegł go szept - nie odwracaj się, nie zwracaj uwagi policjantów. Chcesz być pobity za nic?

- Skąd wiesz, że to właścicielka? - zapytał szeptem Ignacy.

- Pracowałem dla niej kiedyś. Straszne pieniądze robi na żywności dla miasta. Wygrywa każdy przetarg.

- Ale jak? - odszeptał Ignacy.

- Nikt nie wie jak, ale kiedyś jedna spółdzielnia wystartowała w przetargu, to jej magazyn z żywnością spłonął. Podobno spięcie instalacji elektrycznej.

- A śledztwo? Nie było może śledztwa, nikt nie pytał, nie wiedział, kto zyskał.

- Człowieku, skąd Ty się urwałeś? - zaśmiał się cicho rozmówca - No, ale teraz cicho, patrzą na nas.

Ignacy delikatnie rozejrzał się i zobaczył, że dwóch policjantów stoi niedaleko i dyskretnie przygląda się kolejce. Lubomirska stała przy samochodzie, czerwony ze strachu kierownik punktu stał koło niej i coś tłumaczył. Na każde zdanie kierownika Lubomirska kręciła przecząco głową i odpowiadała coś, co powodowało, że kierownik czerwieniał jeszcze bardziej. Po kilku takich wymianach, Lubomirska machnęła ręką na policjantów. Policjanci karnie podbiegli do niej, wysłuchali jej i złapali kierownika i odciągnęli go od punktu. Ciągnąc, wyjęli pałki i kilkukrotnie uderzyli po nogach byłego kierownika. Potem rzucili go na chodnik i wrócili do patrolowania.

Po tym, Lubomirska wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i na dużym gazie pojechała dalej. Kolejka zaczęła się poruszać powoli do przodu. Kolejne osoby zdyscyplinowanie podchodziły do kontuaru, oddawały kartki, podawały karton i otrzymywały inny z porcją żywności: odrobiną oleju, ziarnem kukurydzy, odrobiną soi i czasem owocem.

Ignacy był już niedaleko kontuaru, gdy kolejny petent, młody mężczyzna, krótko po wojskowemu obcięty, w kurtce wojskowej, wyjął wagę i zaczął ważyć odmierzone produkty. Pracownik punktu za kontuaru zaczął głośno protestować, ale mężczyzna coś powiedział i tamten zamilkł. Policjanci zauważyli mężczyznę i ruszyli do punktu. Mężczyzna rozejrzał się, zauważył policjantów i zaczął głośno przemawiać:

- Ludzie, obywatelki i obywatele, oszukują nas. Niedoważają produkty, dostałem mniej tego, co powinienem. Nie dajcie się oszukiwać. To my tworzymy przyszłość. Niech żyje Partia!

Po tym oświadczeniu, mężczyzna zebrał produkty i rzucił się do ucieczki. Policjanci skoczyli go łapać. Mężczyzna wywinął się jednemu, ale drugi go złapał za rękę i podniósł pałkę do uderzenia. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i schwytaną rękę pchnął policjanta. Policjant, zaskoczony, przestraszony użyciem broni, cofnął się o krok. To wystarczyło, mężczyzna wyciągnął z kurtki plik kartek i rzucił w policjanta. Potem szarpnął schwytaną ręką i się uwolnił. Uwolniony, rzucił się biegiem od kolejki, wpadł i zniknął w ulicy Baśniowej.

Policjanci, zamiast go łapać, rzucili się do zbierania ulotek. Kto w kolejce podniósł z ziemi, był ostrzegany od razu przez policjantów o przestępstwie. Ludzie w kolejce dyskretnie obserwowali zamieszanie.

Ignacy starał się niezauważenie przyglądać się. Po kilku minutach ulica była wysprzątana. Ignacy usłyszał szept.

- Głupcy, tak się starają kapitalistom dogodzić.

- Jak to? - odszeptał Ignac.

- Jadą na tym samym wózku co my przecież, tylko pracownicy. - odpowiedział

głos.

- Ale mają władzę, mogą pobić, podobno mogą zabić, co my możemy zrobić?

- Ciszej - upomniał głos - chyba nic nie wiesz o świecie, masz tu na naukę.

Ignacy poczuł, że ktoś wsuwa mu do kieszeni kartkę. Ignacy zirytował się, odwrócił się gwałtownie. Ale za sobą zobaczył przysypiającą starszą kobietę. Kilka następnych osób w kolejce patrzyło się na niego z leniwym brakiem zainteresowania. Ignacy wsunął rękę do kieszeni i wyczuł tam papier.

Po odebraniu przydziału, Ignacy usiadł na krawężniku i wyciągnął kartkę od nieznajomego. Była to bardzo podobna ulotka do tej, którą już otrzymał w szalecie. Ignacy się rozejrzał, nikt go nie obserwował. Schował ulotkę do przeczytania w domu.

Na początku lutego zima uchwyciła silnie Warszawę. Temperatura spadła poniżej piętnastu stopni Celsjusza. Ludzie zaczęli palić książki, parkiety, jak gdzieś się ostały, aby się choć trochę ogrzać. Drewna, opału od wielu lat od dawna nie było w Warszawie. Cena metra kwadratowego klepki podłogowej skoczyła do jednego przydziału żywności.

Ignacy był ubrany w wiele warstw ubrania. Koszule, sweterki, swetry, dwie kurtki, co mógł znaleźć, ledwo co chroniły go przed zimnem, o ile nie wychodził na zewnątrz z hali stalowni. Na polu, wiatr wciskał się pomiędzy szpary i nieubłaganie wychładzał. Tego ciepła Ignacy nie miał jak odzyskać, ani jak zdobyć. Razem z innymi składał się jedzeniem na zakup opału, ale do ogniska najpierw podchodziły dzieci.

Ignacy dowiedział się o katolickiej jadłodajni przy trasie toruńskiej w kościele

przy Broniewskiego. Żeby przeżyć, Ignacy postanowił tam pójść. Tego dnia kolejka była dłuższa niż zwykle. Ludzie stali w szeregu wciskając się w wysoki ceglany mur, aby choć trochę ochronić się przed wiatrem. Na podwórcu było spokojniej, tam stały ławy.

Ignacy w końcu wszedł na podwórzec. Rozejrzał się, aby znaleźć koniec kolejki. Kolejka najpierw kierowała się do namiotu, a potem do kuchni.

- Przepraszam - zaczął Ignacy do osoby przed nim - po co kolejka przechodzi przez namiot?

- To pan nie wie - odpowiedziała postać okutana w płaszcze, serdaki, jak wielki tobół starych rzeczy.

- Pierwszy raz korzystam z jadłodajni - odpowiedział Ignac.

- Trzeba mieć obecność na mszy, aby dostać obiad. - postać wyjaśniała - A żeby być na mszy, trzeba dostać książęczkę, w tym namiocie.

- Ale przecież chrześcijanie wszystkim powinni pomagać? - zdziwił się Ignac - Tak mi rodzice jeszcze mówili.

- Ja tam się nie znam - odpowiedział szybko tobół i prędko się odsunął od Ignaca.

Kolejka dotarła do namiotu. Ignacy wszedł. Przy polowym biurku siedział młody mężczyzna, niewielki brzuszek wylewał mu się znad paska.

- Witam, synu - powiedział mężczyzna - Jestem wikarym tej parafii, co Cię do nas sprowadza?

- Jestem głodny, jest zimno i nie mam co jeść - odpowiedział Ignacy.

- Takie czasy, ale Pan Bóg daje nam tylko takie cierpienia, które możemy znieść.

- Wie Pan, ja do końca nie jestem wierzący.

- Rozumiem synu, ale zwracaj się do mnie raczej proszę księdza - powiedział surowo wikary.

- Czy mógłbym, proszę księdza - powiedział z przesadą Ignacy - dostać obiad?

- Synu, ten ton Ci nie przystoi, jesteś w domu bożym, a nie zachowujesz pokory - odpowiedział poważnie wikary. - Czy rodzice niczego Ciebie nie nauczyli?

- No, nie, tyle co do szkoły, a potem miałem sobie radzić sam.

- Zatem zachowuj pokorę, pokorne cielę dwie matki ssie. - powiedział z namaszczeniem wikary - Podejdź bliżej, synu. Jak Ci na imię?

- Ignacy.

- Piękne imię, chrześcijańskie, ochrzczony byłeś?

- No nie

- O tempora, o mores - powiedział wikary - czyli Ty mały poganin jesteś?

- Proszę księdza, kiedy dostanę jeść ? - zapytał się Ignacy, zdenerwowany aroganckimi uwagami wikarego.

- Zaraz Ci tu wyrobimy książęczkę, pójdziesz z nią do kuchni, potem na mszę, a jutro zaczniesz od mszy i pójdziesz do grupy katechumenalnej - powiedział wikary. - Pamiętaj, jedna msza to jeden obiad, ad majoram dei glorias, czyli, dla większej chwały bożej.

- Czy to jest konieczne? - zapytał się Ignacy.

- No, chyba nie chcesz żyć w grzechu - odpowiedział wikary, wypełniając małą książęczkę.

Wikary wstawił pieczątkę.

- Masz tu, synu - wikary złożył książeczkę.

Ignacy sięgnął po książeczkę, ale wikary obrócił dłoń z książeczką, jakby do ucałowania.

- Czy mam Cię pocałować w rękę ? - wyszeptał Ignacy.

- Tak, synu, okaż wdzięczność świętemu Kościołowi Katolickiemu. - odparł wikary.

Ignacy spojrzał się na młodego wikarego, a już grubego, pomyślał o ssaniu w żołądku, które towarzyszyło mu od wczoraj. Odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Nadeszła wiosna. Sporadyczne deszcze zamieniały ziemię na długie godziny w błoto. Ludzie rozdeptywali błoto w rodzaj kleju, który przyklejał się do butów. Ignac z przyjemnością wygrzewał się na mocnym wiosennym słońcu po wystaniu swojego w kolejce.

- Mój drogi Ignacy, witaj - usłyszał z tyłu.

Ignacy się odwrócił.

- Mój drogi Horacy, jak się czujesz? - odparł.

- Dzisiaj rano zjadłem nieziemską owsiankę - powiedział Horacy - dodałem odrobinę miodu, i przez chwilę byłem równy bogom na Olimpie.

Ignacy się roześmiał.

- Mówisz o tym glucie i syropie glukozowym, który zwykle dostajemy w noclegowni ? - zapytał się Ignac.

- Dla Ciebie glut, a dla mnie ambrozja, bo ani nie jestem głodny, ani nie jestem spragniony, czego jeszcze oczekiwać - odpowiedział Horacy.

- A gdzie teraz idziesz? Do kolejki?

- Nie idę, a podążam, zgodnie z naturalną koleją rzeczy po żywność, mogę Ci potowarzyszyć jak chcesz?

- Chodźmy zatem, aby spełnić to pragnienie.

Szli razem, a koło nich, jak co rano, szły w błocie tłumy ludzi wysypujące się bloków, kamienic czy z namiotów. Dawne trawniki, a teraz błotowiska, były zajmowane przez kolejne grupy ludzi, wracających z kolejek lub idących do kolejek.

Ignacy szedł spokojnie, omijał większe grupki lub przeciskał się pomiędzy innymi ludźmi. Horacy szedł koło niego lub za nim. Ignacy szedł poważny, skupiony na celu, a Horacy uśmiechnięty, ze słowami przepraszam i proszę na ustach.

Doszli do końca kolejki. Tutaj obowiązywały inne zasady. Zasady milczenia i spokoju.

Horacy złapał za ramię Ignacego.

- Mój Ignacy - powiedział

- Mój Horacy - odpowiedział Ignacy.

- Zanim zamilkniemy na najbliższe godziny, pozwól, że przekażę Ci ważną

informację.

- Słucham Cię uważnie.

- Dziś w Lasku Bielańskim po zmroku jest spotkanie. Chciałbym, abyś przyszedł.

- Jakie spotkanie? Jakaś sprawa polityczna? - zapytał się zaniepokojony Ignacy.

- Tak. Chodzi o naszą przyszłość.

- Nasza przyszłość, śmieszne, my nie mamy przyszłości - odparł ze smutnym uśmiechem Ignacy.

- My może nie, ale ludzkość musi mieć przyszłość.

- Pomyślę nad tym - obiecał Ignacy.

Zmrok zapadał nad Warszawą szybko. Nie było latarni, więc bardzo szybko nic nie było widać. Ciemność na ulicach była rozświetlona ręcznymi latarkami. Ignacy powoli zbliżał się do Marymonckiej. Kiedyś dalej był Las Bielański, ale został już bardzo dawno temu wycięty. Ziemia była podmokła, bez drzew zamieniła się w bagnisko, na które nikt nie chciał wchodzić.

Przy Podleśnej spotkał się z Horacym. Horacy poprowadził Ignaca na podeschnięty placyk. Tam szybko zbierały się grupki ludzi w każdym wieku.

- Dużo osób będzie? - zapytał się Ignacy, żeby przerwać ciszę.

- Cii - uciszył go Horacy - żadnego gadania, żadnych imion, proszę - dodał po chwili.

Tłumek gęstniał, nie można było zobaczyć liczby osób, ale w ciemności, co raz więcej czuć było drugiego człowieka, niedomytego, spoconego, niedaleko.

W ciemnościach, od strony Marymonckiej, rozległ się głos z megafonów.

- Tu Policja, to zgromadzenie jest nielegalne. Rozejść się!

Horacy przykucnął i pociągnął za sobą Ignaca.

- Uciekamy - syknął Horacy - w stronę Wisły.

Naokoło Ignacego ludzie przemykali w różnych kierunkach.

Nagle do nocnej ciszy wdarł się odgłos prutego materiału. Nad tłumem zaczęły latać jasne linie, niektóre padały niżej. Ignacy pociągnął za sobą Horacego i rzucił się do biegu prostopadle do tych linii.

- Dawaj, biegiem - krzyknął Ignacy.

Odwrócił się, ale Horacego tam nie było. Ignacy przykucnął, próbując w ciemnościach dojrzeć przyjaciela. Nie było go tam. Mógł wracać, ale pociski smugowe zaczęły latać jeszcze gęściej. Mógł uciekać, ale tam został Horacy. Przed nim upadła kobieta. Groza odebrała mu dech z piersi. Ignacy położył się na ziemi, podczołgał się do niej, ale, jak sprawdził. już nie oddychała. Ignacy podniósł głowę, podniósł się w kucki i wpół pobiegł jak najdalej od śmierci.

Następne dni Ignacy starał się dowiedzieć, odnaleźć Horacego. Nikt nie widział od pamiętnego dnia Horacego. Na Policję nie miał co iść, nie takich jak on policja usuwała ze społeczeństwa. Ignacy ciągle wspominał Horacego. Chodzenie po mieście przypominało mu Horacego, jego radość życia, jego

spokój. Nie znał nikogo z jego rodziny, Horacy nie przedstawił mu kolegów, więc nawet nie wiedział jak przekazać wieść o jego zaginięciu.

Miesięce upływały na żałobie. Ignacy nie wiedział, co ze sobą począć. Jego życie, już wcześniej szare i nudne, naznaczone teraz było smutkiem i depresją.

Pewnego dnia znalazł przy barłogu w stalowni ulotkę nawołującą do manifestacji. Ignacy, dla Horacego, dla siebie, aby poczuć się człowiekiem, a nie zwierzem, zdecydował się pójść.

Czternasty lipca dwa tysiące pięćdziesiąt czwartego roku był dniem suchym, gorącym dniem na terenie całego województwa warszawskiego. W tym dniu, tysiące osób wyszło na ulice, aby poprzeć w manifestacji żądania równości, braterstwa i wolności dla wszystkich, niezależnie od stanu posiadania.

Milionowa manifestacja szła spod Pałacu Kultury i Nauki w kierunku Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Ignacy Atkyp też w niej uczestniczył. Na wysokości placu Konstytucji naprzeciw manifestantom stanęli policjanci ze szkoły oficerskiej w Szczytnie, oddziały prewencji i “czarne koszule”, oddziały policyjnych morderców.

Manifestacja zatrzymała się na wejściu do placu przy ulicy Marszałkowskiej. Policjanci, długi czarny szereg, stali nieruchomo. Przez megafony rozległ się komunikat Policji.

- Na podstawie Prawa o stanie wyjątkowym, należy się rozejść i powrócić do codziennych zadań. Nieposłuszni będą ukarani.

Kilkanaście osób w manifestacji w różnych miejscach zaczęło zachęcać do dalszego marszu. Koło Ignacego starsza kobieta powiedziała, że nic im nie będzie, że mają prawo manifestować. Koło niej pojawili się atletyczni mężczyźni i wykręcili jej ręce. Kobieta krzyknęła cicho. Inni manifestanci zaczęli się dopytywać, co się stało. Ignacy nie usłyszał odpowiedzi, ale zobaczył, że atletyczni mężczyźni są uderzani i padają na ziemię. Przez tłum przebiegła fala i manifestacja ponownie ruszyła.

- To jest ostatnie ostrzeżenie - przez megafon powiedział policjant.

Manifestacja dalej szła. Ignacy usłyszał trzaski, jakby ktoś łamał deskę. Manifestanci zatrzymali się. Ignacy usłyszał ryk i krzyki z przodu manifestacji.

- Strzelają!! - ktoś krzyknął.

Ignacy w tym momencie zrezygnował, zrezygnował z rezygnacji. W jakim świecie przyszło mu żyć, że nic mu nie jest dane, a wszystko zabierane, marzenia, przyjaciele - myślał gorączkowo. Jego życie, szczególnie ostatnie miesiące, skrystalizowały się w decyzji, twardej, bo ostatecznej. Ignacy rozejrzał się wokół, zobaczył zmęczone twarze ludzi sponiewieranych.

- Ludzie - krzyknął Ignacy - co nam po takim życiu?

Otaczający go ludzie spojrzeli się na niego podejrzliwie.

- Ludzie - krzyknął Ignacy, do wtóru trzasków wystrzałów - przyszłość nie jest nam dana, to my tworzymy przyszłość.

Ludzie, kobiety i mężczyźni, stali niezdecydowani.

- Ludzie - krzyknął jeszcze raz Ignacy - śmierć jest niczym dla nas, naprzód po przyszłość naszą i naszych dzieci.

Jego krzyk poruszył najgłębszy strach, bezsensowność życia w kolejkachm i najgłębsze marzenie, lepszą przyszłość, choćby tylko dla dzieci, w życiu manifestantów. Zaczęli skandować, do otaczających Ignaca ludzi przyłączali się inni. Manifestanci ruszyli w kierunku Sejmu. Ignacy zaczął biec razem z innymi. Przed sobą usłyszał łomot, jakby wiertarki, koło niego ludzie zaczęli padać, zatrzymywać się w miejscu, siadać. Na ziemi pojawiły się plamy krwi z ciał postrzelonych. Ignacy wreszcie działał, wreszcie był.

Ignacy Atkyp został śmiertelnie postrzelony na schodach Sejmu.

Warszawa, październik 2017-styczeń 2018 roku